

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Męska mitologia

Zgodnie z Księgą Genesis Bóg najpierw stworzył mężczyznę. Kobieta miała być dla niego nie tylko dodatkiem, ale też udogodnieniem. Przez prawie dwa tysiące lat uważano, że święty tekst usprawiedliwia jej podporządkowanie i wyjaśnia niższość, ponieważ nawet jako kopia nie była kopią zbyt dobrą. Były różnice. Nie należała do Jego najlepszych prac.

Jest taki wers ze starej piosenki: „Nazwałem mego osła koniem, który osłabł”. W przeważającej części literatury zajmującej się różnicami między płciami jest niewypowiedziane założenie, że kobieta jest mężczyzną, „który osłabł”; że jest zniekształconą wersją oryginalnego projektu; że oni to norma, a my to odchylenie. Można było oczekiwać, że kiedy przyszedł Darwin i napisał zupełnie inne świadectwo pochodzenia człowieka, to założenie powinno zostać zarzucone. Darwin bowiem nie wierzył, że kobieta jest dodatkiem – wierzył, że jej pochodzenie jest co najmniej współczesne z pochodzeniem mężczyzny. Powinno to być prowadzić do przełomu w relacjach między płciami. Ale nie doprowadziło.

Prawie natychmiast mężczyźni zabrali się do przyjemnego i fascynującego trudu wypracowania całkowicie nowego zestawu powodów, dla których kobieta jest widocznie niższa i nieodwracalnie podporządkowana, i radośnie pracują nad tym od tamtej pory. Zamiast teologii używają biologii, etologii i prymatologii, ale używają ich do wysnucia tych samych wniosków. Teraz są przygotowani do dyskusji na temat

najbardziej złożonych problemów reform ekonomicznych nie w terminach woli bożej, ale w terminach wzorców zachowań seksualnych pielęgni. Wobec tego, jeżeli kobieta żąda równej płacy za równą pracę czy jednakowego prawa do awansu, zwykle znajdzie się jakiś autorytet płci męskiej i wskaże, jej ukryte motywy tego żądania, których wynikiem będzie nieuchronnie „psychologiczna kastracja” mężczyzn w jej życiu.

Wygląda to jak standardowy przykład szantażu emocjonalnego: „Jeśli Syneczek nie zrobi tego, co Mamusia chce, to Mamusia się znowu okropnie zdenerwuje”... Nie jest wcale zaskakujące, że większość kobiet, którym zależy na wywalczeniu sobie nowego i lepszego statusu w społeczeństwie ma skłonność do odwracania się od zagadnień związanych z biologią i pochodzeniem i żywi nadzieję, że możemy to wszystko zignorować i skoncentrować się na tym, żeby przyszłość była inna.

Jestem przekonana, że to błąd. Legenda o dziedzictwie dżungli i ewolucji człowieka jako polującego drapieżnika zapuściła korzenie w męskim umyśle równie głęboko jak niegdyś Genesis. Może on rzeczywiście szczerze wierzyć, że równa płaca uczyni coś strasznego jego gonadom. Zbudował piękną teoretyczną konstrukcję ze sobą samym na szczycie, podpartą wspaniałym zbiorem naukowo sprawdzonych faktów. Nie możemy dyskutować z faktami. To, co myślę, że możemy zrobić, to zasugerować, że obecnie akceptowana interpretacja nie jest jedyną możliwą.

Mam dużo podziwu dla naukowców w ogóle, a ewolucjonistów i etologów w szczególności i chociaż myślę, że zdarza im się zboczyć z drogi, czynią tak nie wyłącznie w wyniku uprzedzeń. Częściowo jest to spowodowane czysto semantycznym incydentem – tym, że „człowiek” jest terminem dwuznacznym. Oznacza gatunek, jak również samca gatunku. Jeśli zaczniesz pisać książkę o człowieku lub wykoncepujesz teorię na temat człowieka, nie możesz uniknąć używania tego słowa. Nie możesz uniknąć używania zaimka w zastępstwie tego słowa i użyjesz zaimka „on” po prostu

z wygody lingwistycznej. Ale zanim dojdiesz do połowy pierwszego rozdziału, w umyśle zacnie ci się formować mentalny obraz tego ewoluującego stworzenia. To będzie obraz mężczyzny i on będzie bohaterem opowieści – wszystko i wszyscy w historii będą się odnosić do niego. Może to brzmieć jak lingwistyczne czepianie się albo feministyczna drażliwość. Jeśli chwilę wytrzymacie, mam nadzieję przekonać was, że nie jest ani jednym, ani drugim. Jestem przekonana, że głęboko zakorzeniona konfuzja semantyczna słowa „człowiek” w znaczeniu „mężczyzna” i słowa „człowiek” jako określenia gatunku została uwikłana w rozważania o pochodzeniu, rozwoju i naturze ludzkiej rasy i zepsuła je w znacznym stopniu.

Duża część rozważań na te tematy ma charakter androcentryczny (skoncentrowany na mężczyźnie) w ten sam sposób, jak przedkopernikańskie myślenie było geocentryczne. Po prostu trudno mężczyźnie przełamać zwyczaj myślenia o sobie jako o centrum wszechświata. Postrzega on siebie całkiem nieświadomie jako główną linię ewolucji, z żeńskim satelitą obiegającym go jak Księżyc obiega Ziemię. To nie tylko powoduje przeoczenie ważnych wskazówek co do naszych przodków, ale czasem też prowadzi do formułowania twierdzeń wierutnie i jawnie bezsensownych.

Im dłużej czytałam jego (mężczyzny, człowieka) książki o sobie samym, tym bardziej tęskniłam za tomem, który zacząłby się od słów: „Kiedy pierwsza przodkini rasy ludzkiej zeszła z drzewa, nie miała jeszcze rozwiniętego potężnego mózgu, który miał w przyszłości odróżnić ją tak wyraźnie od wszystkich innych gatunków”... Oczywiście, ona była w nie większym stopniu pierwszą przodkinią niż on pierwszym przodkiem, ale nie była nią również w mniejszym stopniu. Była tam cały czas, przekazując połowę genów każdemu następnemu pokoleniu. W książkach zapomina się o niej przez większość czasu. Wciągają ją na scenę dość nagle w obowiązkowym rozdziale „Seks i reprodukcja”, a potem mówią: „Świetnie mała, możesz już sobie iść” – a sami następnie

zajmują się poważnymi sprawami Wspaniałego Łowcy, jego śliczną nową bronią i pięknymi nowymi prostymi nogami śmigającymi przez plejstocenijskie równiny. Każda modyfikacja w jej morfologii ma być imitacją ewolucji Łowcy albo też ma być zaprojektowana wyłącznie dla jego przyjemności.

Myślenie ewolucjonistyczne czyni ostatnio wielkie kroki. Archeolodzy, etolodzy, paleontolodzy, geolodzy, chemicy, biolodzy i fizycy ze wszystkich stron osaczają tajemnicę. Jednak pomimo triumfalnych tańców badaczy z kolejną kością zuchwową albo nową statystyką część cudu jest wciąż niewyjaśniona. Większość ich książek zawiera takie frazy jak: „(...)wczesne etapy ludzkiego postępu ewolucyjnego pozostają całkowitą tajemnicą”; „Człowiek jest wypadkiem, kulminacją szeregu w najwyższym stopniu nieprawdopodobnych koincydencji”; „Człowiek jest produktem okoliczności wyjątkowych aż nie do uwierzenia”. Czują, że czegoś wciąż brakuje, i nie wiedzą czego.

Kłopot ze specjalistami polega na tym, że mają tendencję do myślenia kolejowego. Od czasu do czasu zdarza się coś, co ich z koleiny wytrąca. Robert Ardrey opowiada, jak takie wytrącenie nawiedziło dr. Kennetha Oakleya, kiedy odkrył pierwsze szczątki australopiteka w Afryce: „Odpowiedź błysnęła bez ostrzeżenia w jego własnej kopolastej głowie: »Oczywiście byliśmy przekonani, że najpierw był duży mózg! Zakładaliśmy, że pierwszy człowiek był Anglikiem!«” Ani on, ani Ardrey relacjonujący to zdarzenie nie zauważyli, że nadal czynił równie nieświadome, równie nieuprawnione założenie. Pewnego dnia jakiś badacz ewolucji puknie się w czoło i zawoła: „Oczywiście! Zakładaliśmy, że pierwszy człowiek był mężczyzną!”.

Na początek zróbmy krótkie podsumowanie historii w takiej wersji, w jakiej się ją dotychczas opowiada, ponieważ pomimo wszystkich nowo odkrywanych dowodów ogólnie akceptowany obraz ewolucji człowieka niewiele się zmienił.

Łup! W samym środku ląduje tarzanopodobna sylwetka prehominida samca, który zszedł z drzewa, zobaczył sawannę rojącą się od zwierzyny, złapał broń i został Wspaniałym Myśliwym.

Prawie wszystko, co nas dotyczy, ma być tego konsekwencją. Jeżeli chodzimy wyprostowani, to dlatego że Wspaniały Łowca musiał się wyprostować, aby z wysoka rozglądać się za ofiarą. Jeśli żyliśmy w jaskiniach, to dlatego że łowcy potrzebowali domu, do którego mogliby wracać. Jeśli nauczyliśmy się mówić, to dlatego że myśliwi musieli zaplanować kolejne safari i przechwalać się ostatnim. Desmond Morris, zastanawiając się nad kształtem kobiecego biustu, natychmiast wydedukował, że wyewoluował on, ponieważ partner kobiety został wspaniałym myśliwym, i broni tej niedorzecznej tezy z największą pomysłowością. Jest coś w tej postaci Tarzana, co wszystkich zauroczyło.

Całą tę opowieść znajduję wysoce niewiarygodną. Jest usiana tajemnicami, niespójnościami i pytaniami bez odpowiedzi. Jeszcze bardziej obciążające są pytania nigdy niezadawane, ponieważ - jak wskazał prof Peter Medawar - „naukowcy mają tendencję do niezadawania sobie pytań, na które odpowiedź nie formuje się, choćby szczątkowo, w ich głowach”. Poświęcę ten rozdział na wskazanie niektórych takich pytań, zanim naszkicuję nową wersję historii Nagiej Małpy - taką, która zasugeruje przynajmniej możliwe odpowiedzi na każde z nich, i piętnaście czy dwadzieścia innych.

Pierwszą tajemnicą jest: Co się stało w pliocenie?

Teoria, że ludzka historia zaczyna się w Afryce, została szeroko zaakceptowana. Dwadzieścia milionów lat temu w Kenii istniała kwitnąca populacja małp o niewyspecjalizowanej budowie i wielości typów od rozmiarów małego gibbona do dużego goryla. Dr L.S.B. Leakey wykopywał ich kości setkami w regionie Jeziora Wiktorii i najwyraźniej radziły sobie w tym czasie bardzo dobrze. Był to okres znany jako miocen. Łagodna pogoda, obfitsze opady deszczu, lasy w rozkwicie. Jak dotąd świetnie.

Potem przyszła pliocieńska susza. Robert Ardrey pisze

o niej: „Żaden umysł nie może pojąć w terminach dostępnych ludzkemu doświadczeniu czasu trwania pliocenu. Dziesięć suchych lat ćwierć wieku temu wystarczyło do utworzenia na amerykańskim południowym zachodzie tej otchłani nieszczęścia, jaką były piaskowe sztormy *dust bowl*. Mieszkańcom regionu te dziesięć lat musiało zdawać się wiecznością. A afrykański pliocen trwał dwanaście milionów lat”.

Na całym kontynencie afrykańskim nie znaleziono w warstwach pliocenkich ani jednego przedludzkiego szczątku. W ciągu tego okresu wiele obiecujących miocenkich gatunków małp zostało – nic w tym dziwnego – startych z powierzchni ziemi. Kilka zostało w kurczących się połaciach lasu i kiedy pliocen się skończył, pojawiły się ponownie jako małpy brachiatory – wyspecjalizowane w bujaniu się na rękach.

Coś zadziwiającego również pojawiło się ponownie – australopiteki, po raz pierwszy odkryte przez profesora Raymonda Darta w 1925 roku i od tamtej pory odkrywane w znacznych liczbach.

Australopitek wyłonił się po tych przerażających dwunastu milionach lat sądu bożego znacznie odświeżony i udoskonalony. Kłykcie potyliczne jego czaszki pokazują, że nosił głowę pod nowym kątem, sugerującym, że chodził prosto, a nie na czworakach, a region oczodołowy wg Sir Wilfreda le Gros Clarka ma „nad wyraz ludzki wygląd”. Był też bystry. Jego szczątki znajdowano w wąwozie Olduvai wśród prymitywnych narzędzi otoczkowych, które okrzyknięto najwcześniejszymi początkami ludzkiej kultury. Robert Ardrey mówi: „Weszliśmy w pliocenki kocioł jako niewyspecjalizowane stworzenie ledwie niosące ludzki potencjał. Kiedy wyszliśmy, brakowało nam jedynie porządnego mózgu i podbródka. Co się z nami stało po drodze?”. Pytanie za 100 tysięcy dolarów: Co się z nimi stało? Dokąd poszli?

Drugie pytanie: Dlaczego stanęli pionowo? Popularna wersja lekko się przemyka po tym kruchym lodzie. Desmond Morris mówi po prostu: „Wobec silnej presji na zwiększenie

zdolności zabijania ofiar powstałi szybsi, lepsi biegacze”. Robert Ardrey mówi równie prosto: „Nauczyliśmy się stać w pozycji wyprostowanej w pierwszej mierze wobec konieczności przystosowania do życia łowieckiego”.

Ale chwileczkę. Byliśmy czworonogami. Te zdania implikują, że czworonóg nagle odkrył, że może się poruszać szybciej na dwóch nogach niż na czterech. Spróbujcie sobie wyobrazić, jaki czworonóg wpada na ten pomysł – kot? pies? koń? – i zdacie sobie sprawę, że to kompletny nonsens. Poza wszystkim cztery nogi z pewnością biegają szybciej niż dwie. Rozwój dwunożności był okrutnie nienaturalny.

Łasice, świstaki, króliki, szympanse siadają lub stoją na dwóch nogach, żeby się rozejrzeć, ale kiedy chcą być szybkie, mają dość rozsądku, żeby użyć wszystkich nóg, którymi dysponują. Jedyne czworonogi poruszające się szybciej na dwóch niż na czterech, które przychodzą mi do głowy, to kangury – i mała jaszczurka zwana Texas boomer, a ona nie wytrzymuje w tej pozycji długo. Sekretem w tych przypadkach jest długi, ciężki, równoważący ogon, którego z pewnością nigdy nie mieliśmy. Można mówić, że był to naturalny rozwój dla naczelnych, bo naczelne siedzą wyprostowane na drzewach – ale czy naprawdę naturalny? Pawiany i makaki są zwierzętami naziemnymi od milionów lat bez śladu dwunożności. George A. Bartholomew i Joseph B. Birdsall wskazują: „[...] niezwykła rzadkość dwunożności wśród zwierząt sugeruje, że jest ona nieefektywna z wyjątkiem bardzo specjalnych okoliczności. Nawet unikalna pionowa lokomocja nowoczesnego człowieka w porównaniu z ruchem czworonożnych ssaków jest względnie nieefektywna [...] Musiała wyniknąć jakaś istotna korzyść nielokomocyjna”.

Co to była za korzyść? Tarzaniści sugerują, że dwunożność umożliwiła małpie ściganie zwierzyny i jednoczesne trzymanie broni – na początku zapewne kamieni. Ale szympanś biegący z bananem (lub kamieniem), jeśli nie może go włożyć do ust, niesie go w jednej ręce i galopuje na pozostałych trzech, bo nawet trzy nogi są szybsze niż dwie. Więc co nasz przodek miał

niby robić? Wałęsać się z kamieniem w każdej pięści? Rzucić głazami, których podniesienie wymagało obu rąk? Ciskać kłody?

Nie. Musiał być ważniejszy powód, dla którego ograniczyliśmy się, przez długi czas, do chodzenia na tylnych nogach, mimo że tak było wolniej. Musimy znaleźć ten powód.

Trzecie pytanie: Jak ta małpa w ogóle wpadła na używanie narzędzi? Znowu Desmond Morris wyjaśnia to łatwo, przeskokiem: „Wobec silnej presji na zwiększenie zdolności zabijania ofiar [...] ich ręce stały się zdolne do silnego, efektywnego trzymania broni”. W porównaniu z Morrisem Robert Ardrey ma obsesję broni, którą nazywa „najbardziej znaczącym ludzkim dziedzictwem kulturalnym”. Lecz jego wyjaśnienie, jak to się zaczęło, jest równie pobieżne jak wszystkie inne: „W pierwszej ewolucyjnej godzinie powstawania człowieka staliśmy się na tyle umiejętnymi użytkownikami broni, że mogliśmy się pozbyć naturalnych sztyletów (tzn. dużych prehominidalnych kłów)”.

Momencik – jak i dlaczego? Dlaczego jeden jedyny gatunek małp miocenskich zaczął używać broni? Przyparty do muru pawian może pokonać lamparta; głodny pawian zabije i zje kurczaka. Teoretycznie mógłby chwycić kawałek krzemienia i zapomnieć o „naturalnych sztyletach”, i zostać Wspaniałym Myśliwym. Ale tego nie robi. Dlaczego my zrobiliśmy? Saren Eimerl i Irven de Gore wskazują w swojej książce „The Primates” (*Naczelne*):

„Prawdę mówiąc, wymaga to wyjaśnienia. Dla przykładu, jeśli normalnym trybem obrony zwierzęcia jest ucieczka przed drapieżnikiem, zwierzę ucieka. Jeśli jego normalny tryb obrony to walka zębami, walczy zębami. Nie stosuje zniecka zupełnie nowego sposobu zachowania, jak złapanie kija lub kamienia i rzucenie nim. Ten pomysł by mu po prostu nie przyszedł do głowy, a nawet gdyby przyszedł, zwierzę nie miałoby powodu przypuszczać, że zadziała”.

Naczelne nabywają użytecznych zwyczajów stosowania narzędzi. Szympan może użyć patyka, żeby

wydłubać insekty z ich gniazd, a zwiniętego liścia, żeby zaczerpnąć wody. Małpy Wolfganga Koehlera używały patyków, żeby przyciągnąć owoce do prętów klatki itd.

Ale ten rodzaj uczenia zależy od trzech rzeczy. Musi być spokój pozwalający na eksperymentowanie metodą prób i błędów. Narzędzia muszą być albo dostępne w ilościach nieograniczonych (las jest pełen patyków i liści), albo dokładnie w tym miejscu, co trzeba. (Nawet Sultan, błyskotliwy szympans z doświadczeń Koehlera, nie radził sobie w sytuacji, kiedy owoc był przed nim, a nowe potencjalne narzędzie za nim – potrzebował ich obu w polu widzenia jednocześnie.) Poza tym, żeby zwyczaj się utrwalił, ten sam efekt musi być wynikiem działania za każdym razem.

A teraz spójrzcie na małpę. Moment jest niedobry – kiedy stoi twarzą w twarz z najeżonym rywalem, szarżującym kotem albo uciekającą ofiarą, nie będzie się wygłupiała z wynajdowaniem nowych sposobów. Szympans czasem wymachuje kijem, żeby grozić przeciwnikowi, ale jeśli przeciwnik nadal się zbliża, rzuca kij i walczy rękami i zębami. Nawet jeśli przypuścimy małpę mutanta, wystarczająco zimnokrwistego, żeby pomyśleć, kiedy adrenalina zalewa mu żyły, że „musi być jakiś lepszy sposób”, wciąż musi on mieć jeszcze szczęście, żeby zauważyć, że dokładnie między nim a wrogiem, w samym środku pierwotnej sawanny, leży kamień poręcznego rozmiaru. A kiedy nim rzuci, musi trafić w dziesiątkę, za pierwszym i za każdym razem. Bo jeśli nie trafi lamparta, to nie będzie komu opowiedzieć progeniturze, że ten trick trzeba tylko doszlifować; a jeśli chybi antylopę, to nie pomyśli: „No dobra, to ewidentnie nie działa. Z powrotem do deski kreślarskiej”.

Nie. Gdyby tyle szczęścia wymagało przekształcenie człowieka w zabójcę, to do dziś jedlibyśmy orzechowe kotlety.

Wielu tarzanistów prywatnie zdaje sobie sprawę, że ich wyjaśnienie dwunożności i użycia broni nie wytrzymuje krytyki. Wynaleźli doktrynę „sprzężenia zwrotnego”, która mówi, że chociaż obie te teorie są oddzielnie bez sensu, razem

jakoś tam dadzą radę. Utrzymuje się, że dwunożny chód małpy, mimo że niestabilny, uczynił ją lepszym miotaczem kamieni (dlaczego?), a rzucanie kamieniami, mimo że niecelne, uczyniło ją lepszym dwunogiem (dlaczego?). Eimerl i de Gore dalej stawiają niezręczne pytanie: skoro szympany mogą zarówno chodzić wyprostowane, jak i używać prostych narzędzi, to „dlaczego jedynie hominidy skorzystały ze »sprzężenia zwrotnego«?”. Możecie sobie pytać do woli.

Następne pytanie: Czemu naga małpa stała się naga?

Desmond Morris twierdzi, że w odróżnieniu od bardziej wyspecjalizowanych mięsożerców, jak lwy i szakale, małpa ekswegetarianin nie była fizycznie przystosowana do „przypuszczania błyskawicznych ataków na swoje ofiary. Doświadczała znaczącego przegrzania w czasie polowania, a utrata włosów na ciele miała wielką wartość w kulminacyjnych momentach pościgu”.

To jest doskonały przykład myślenia androcentrycznego. Były w tym czasie dwie płcie i nie wierzę, żeby kiedykolwiek było łatwo pozbawić kobietę futra tylko po to, żeby oszczędzić mężczyźnie potu w kulminacyjnych momentach. Co niby działo się z samicami w tych czasach ogołocenia?

Dr Morris mówi: „Ten system oczywiście nie działałby, gdyby klimat był zbyt intensywnie gorący, z powodu uszkodzeń obnażonej skóry”. Zatem widocznie datuje utratę sierści na okres późniejszy niż plioceniczne inferno. Ale następny okres to był burzliwy plejstocen akcentowany w Afryce gigantycznymi pluwiałami odpowiadającymi epoce lodowej na północy. Pluwiał (*pluvium*) to stulecie za stuleciem gwałtownego deszczu; zatem musimy sobie wyobrazić naszą przodkinię siedzącą nago na środku równiny podczas oberwania chmury, potrzebującą obu rąk do utrzymania w śliskich objęciach śliskiego, wijącego się, równie nagiego niemowlęcia. To jest śmieszne. Nie jest żadną korzyścią dla gatunku, że wspaniałe myśliwy wraca do domu nieprzegrzany – jeśli wraca po to, by stwierdzić, że jego synek

został upuszczony na główkę, a żona zmarła z hipotermii.

Ten problem mógłby być rozwiązany przez dymorfizm – utrata włosów mogłaby pójść dalej u jednej płci niż u drugiej. I tak się stało oczywiście. Ale na nieszczęście tarzanistów to zostająca w domu samica stała się bardziej gołą, a przegrzany łowca utrzymał futro na piersi.

Kolejne pytanie: Dlaczego nasze życie seksualne stało się tak zawikłane i pogmatwane?

Podawana odpowiedź, nie muszę prawie mówić, jest taka, że wszystko zaczęło się, kiedy mężczyzna został myśliwym... Musiał przemierzać duże odległości za ofiarą i zaczął się martwić, co tam porabia mała kobietka. Martwił się też o innych członków polującej zgrai, ponieważ - jak wyjaśnia Desmond Morris - „jeśli słabsze samce miały współpracować w polowaniu, to trzeba im było przyznać więcej praw seksualnych. Trzeba było się bardziej dzielić samicami”.

Wobec tego stało się niezbędne, jak opowieść głosi, ustanowienie systemu „więzi w parze” (*pair-bond*), aby zapewnić wierność par przez całe życie. Cytuję: „Najprostszym i najbardziej bezpośrednim sposobem było uczynić wspólną aktywność w parze bardziej skomplikowaną i bardziej przyjemną. Krótko mówiąc, uczynić seks bardziej seksownym”. W tym celu małpom wyrosły płatki uszu, mięsiste nozdrza i wypukłe wargi, wszystkie po to, żeby się wzajem podniecać do szaleństwa. Sutki pani M. stały się wysoce erogenne, wynalazła i opatentowała żeński orgazm, nauczyła się reagować seksualnie cały czas, nawet w czasie ciąży, „ponieważ w systemie jeden samiec - jedna samica byłoby niebezpiecznym frustrować samca zbyt długo. Zagroziłoby to więzi w parze”. Mógłby się rozeźlić albo nawet odmówić współpracy przy polowaniu.

Dodatkowo pary zdecydowały się przejść na seks twarzą w twarz zamiast samca zachodzącego od tyłu jak dotąd, ponieważ ta metoda prowadziła do „spersonalizowanego seksu”. Podejście frontalne oznaczało, że „odbierane sygnały seksualne i przyjemność są ściśle połączone z sygnałami tożsamości

partnera”. W prostszych słowach: wiesz, z kim to robisz.

Wskutek tego pani Naga M. wylądowała w czymś na kształt ambarasu. Do tej pory modnie było w sprawach seksualnych obnosić się z „parą mięsistych, półkulistych pośladków”. Znienacka okazało się, że to prowadzi donikąd. Podchodziła sobie do partnera, nadając jak szalona w pełni frontalne sygnały tożsamości swoimi nowiutkimi płatkami uszu i nozdrzami, a on jakoś nie zwracał uwagi. Rozumiecie, brakowało mu mięsistych półkul. Sytuacja była niebezpieczna, nalega dr Morris. „Jeżeli samica naszego gatunku miała osiągnąć sukces w przeniesieniu uwagi do przodu, ewolucja musiała zrobić coś, żeby obszar frontalny był bardziej atrakcyjny”. I zgadnijcie! Od pierwszego razu: zainwestowała w drugą parę mięsistych półkul w regionie piersiowym i raz jeszcze zostaliśmy ocaleni w ostatniej chwili!

To wszystko jest podniecające, ale trudno to brać poważnie. Zgrajom wilków udaje się współpracować bez tych erotycznych parafernaliów. Nasi bliscy krewni gibbony są wierne przez całe życie bez „spersonalizowanego” frontального seksu, bez skomplikowanych obszarów erogennych, bez nieustannej dostępności samic. Czemu myśmy nie mogli? Poza wszystkim, od kiedy to większa atrakcyjność seksualna jest gwarantem wierności? Jeśli nagi małpolud widział cały ten dodatkowy potencjał seksualny w swojej partnerce, jak mógł nie zauważyć tego samego we wszystkich innych samicach dookoła? Jaki niby to miało mieć na niego wpływ, zwłaszcza w dojrzałym wieku, kiedy zauważył, że cztery półkule pani M. są nieco mniej mięsiste niż dawniej?

Nawet nie zaczęliśmy jeszcze rozpatrywać pytań niezadawanych. Przed końcem rozdziału wymienię tylko dwa z wielu.

Pierwsze: jeżeli żeński orgazm wyewoluował w naszym gatunku po raz pierwszy, po to, żeby dać kobiecie „wzmocnienie behawioralne” zwiększonej aktywności płciowej, to dlaczego, na Darwina, mechanizm ten został spartaczony tak okropnie, że całe plemiona i pokolenia

kobiet przeminęły, prawie nie wiedząc o jego istnieniu? Wg dra Kinseya nawet w rozerotyzowanych USA rzadko zaczyna działać porządnie przed wiekiem około trzydziestu lat. Jak mogła selekcja naturalna kiedykolwiek polegać na takim rachitycznym, zawodnym, późno rozwijającym się wyposażeniu, skoro w surowych warunkach prehistorycznych kobieta miała szczęście, jeśli dożyła lat dwudziestu dziewięciu?

Drugie: dlaczego u naszego gatunku seks stał się tak silnie powiązany z agresją? U większości wyższych naczelných aktywność seksualna jest ostatnią rzeczą w życiu, którą możnaby wiązać z wrogością. Samica naczelných może natychmiastowo powstrzymać złość samca, prezentując tył i oferując seks. Nawet samiec małpy może uspokoić i ułagodzić wściekłego agresora, imitując ten gest. Nie jest to mechanizm wyłączny dla ssaków. Lorenz opowiada, jak rozzłoszczona jaszczurka samiec ruszyła do ataku na samicę pomalowaną dla zmylenia w męskie barwy. Kiedy samiec znalazł się na tyle blisko, by dostrzec swą pomyłkę, tabu okazało się tak silne i absolutne, że agresja uleciała z niego natychmiast, a ponieważ było za późno, żeby się zatrzymać, wyskoczył prosto do góry i przekoziółkował, robiąc salto w tył.

Samice naczelných z całą pewnością nie mogą zawsze liczyć na taką rycerskość. Samica może zostać fizycznie skarcona za niesforne zachowanie; samiec może (z rzadka) skierować na nią złość, kiedy kopuluje z nią inny samiec, ale między zaangażowanymi w seks samcem i samicą jest to zawsze czynność w największej mierze przyjazna. Nie większa jest związana z nią wrogość niż wrogość podczas sesji wzajemnego iskania.

Jak wobec tego seks i agresja, dwa zjawiska nie do pogodzenia w świecie zwierząt, stały się u naszego gatunku splecione tak ściśle, że słowa oznaczające czynności seksualne są wypływane jako zniewagi i przekleństwa? W jakich kategoriach ewolucyjnych mamy wyjaśnić markiza de Sade i piekielne echa, które jego nazwisko wywołuje w tak wielu ludzkich umysłach?

W kategoriach Tarzana chyba nie. Pora podejść do sprawy od początku: tym razem od strony kądzieli i zupełnie inną drogą.